



Z deszczu pod rynnę

Asystemt Ministra... — wyjaśnił swoim towarzyszom. Rudzielec obdarzył Matta pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

— Wybacz Matt, ale wiem doskonale, jak się nazywam — odrzekł nadętym do granic możliwości głosem. — A pan Minister doskonale wie, że jestem jego pomocnikiem.

— Taa, jasne — wykrztusił Gilbert-Kingsley, kiedy Martin-lysol go szturchnął. — Czego chcesz, Weasley?

Rudzielec sprawiał wrażenie nieco urażonego tonem, jakim jego przełożony się do niego zwrócił.

— Za chwilę zaczynamy posiedzenie komisji do spraw łączno-

ści z goblinami, panie ministrze — wyjaśnił Percy wyniosłym tonem. — Poproszono mnie, żebym udał się po pana.

Gilbert–Kingsley odwrócił wzrok w kierunku towarzyszy i obdarzył ich spanikowanym spojrzeniem.

— Pan Minister z ochotą będzie ci towarzyszył — stwierdził z naciskiem Martin–łysol, wypychając metamorfomaga z windy. Percy Weasley obdarzył Martina–łysola krótkim, pełnym oburzenia i politowania spojrzeniem.

— A od kiedy to przemawiasz w imieniu Ministra, Saul? — spytał lodowatym tonem. — Nie bądź bezczelny! Zamiast szłać się bez celu po Ministerstwie, dokończ lepiej ten swój raport na temat wykorzystania kupy centaurów do celów leczniczych. Z pewnością będzie powalający!

Martin–łysol poczerwieniał na twarzy. Choć nie wiedział nic o wspomnianym raporcie, mimo to miał ochotę obić tą zarozumiałą, rudą mordę.

— Co za zadufany w sobie, pyszny dupek! — warknął wściekle, kiedy dwie minuty później winda ponownie ruszyła w dół, niestety bez Gilberta–Kingsleya na pokładzie. Matt przyglądał mu się z takim wyrazem twarzy, jakby miał zaraz zwymiotować.

— Mamy przesrane! — zawołał desperacko. — Bez tego palanta udającego Ministra, aurorzy dokładnie cię prześwietlą! Od razu się pokapują, że coś kombinujemy!

Martin–łysol poczuł, że nogi się pod nim uginają. Serce zaczęło mu łomotać jak oszalałe. Zaczął żalować, że nie ma z nim teraz Lisy. *A może to lepiej... w końcu jak aurorzy mnie zdemaskują i skojarzą mordę z podobizną na listach gończych, będzie pozamiatane! Przy najmniej Lisa uniknie kłopotów. No trudno...*

— A może użyjemy zaklęcia Kameleona — zaproponował desperacko, przypominając sobie jedną z lekcji w Znikającym Uniwersytecie, w czasie której dwóch uczniów użyło tego zaklęcia i bez trudu zwędziło różdżkę Chrapkobąka spod jego nosa.

— To na nic. Wykryją twoją obecność od razu! — jęknął roztrzęsiony Matt. — Po co mi to było... Czemu byłem na tyle głupi, żeby dać się w to wciągnąć... Posadzą mnie na długie lata...

— No dobra. Zawracaj tę cholerną windę! — zawołał spanikowany Martin-łysol. — Innym razem się tu wybierzemy!

Niestety było już za późno na odwrót.

Winda zatrzymała się gwałtownie, a złote kraty rozsunęły się na boki, ukazując znane już Martinowi wejście na korytarz prowadzący do Departamentu Tajemnic.

— Nie ma strażników! — zawołał uradowany Matt, kiedy ostrożnie wychylił się z windy i wyrztał na zaciemniony, wąski korytarz. — Nie ma ich!

Martin-łysol ostrożnym krokiem wyszedł z windy. Z niedowierzaniem zerknął na koniec korytarza, gdzie pod drzwiami stało zwykle dwóch aurorów. Z ulgą stwierdził, że faktycznie, nikt nie pilnuje wejścia.

— To bardzo dziwne — stwierdził ruszając korytarzem. — To się robi coraz bardziej podejrzane... — wyznał, kiedy początkowa ulga ustąpiła miejsca narastającemu niepokojowi. — Cemu dziś nikt nie pilnuje Ministerstwa?

Matt, który z przejętym wyrazem twarzy szedł u jego boku, sprawiał wrażenie nieco zamyślonego.

— Być może oddelegowano ich do tego smoka, co nęka mugoli od kilku tygodni — odparł niepewnie. — Dużo się o tym gada u nas w Departamencie. Podobno Potter nie może sobie poradzić z tą bestią.

Kiedy pokonali całą długość korytarza i dotarli do drzwi, te momentalnie zamieniły się w kłęby czarnego dymu. Zaskoczony Martin-łysol przystanął, ale poirytowany Matt, który był tuż za nim pchnął go do środka.

Znaleźli się w owalnej komnacie z kilkunastoma drzwiami. Jej wnętrze rozświetlały jedynie pochodnie osadzone wysoko na

ścianach. Drzwi, przez które weszli, zamknęły się zaraz za nimi. Komnata zaczęła poruszać się wokół własnej osi. Martinowi-lysolowi drzwi zaczęły dwoić się w oczach. Kiedy sala w końcu przestała się obracać, poczuł, że robi mu się niedobrze.

— Skąd mamy wiedzieć, które są właściwe? — spytał, z trudem przelękając ślinę. Matt przyglądał mu się w napięciu.

— Najpierw mi powiedz, gdzie właściwie zamierzasz się dostać — rozkazał z naciskiem. Zapadła niezręczna cisza, którą przerywało trzepotanie płomyków świec. Martin-lysol gorączkowo zastanawiał się, czy powinien powiedzieć towarzyszowi prawdę.

— Musimy dostać się do sali czasu — wyznał po chwili. Matt pobladł na twarzy jeszcze bardziej. Nabral głośno powietrza do płuc.

— Mogłem się tego domyślić — syknął. — Nie ma mowy! Nie pomogę ci zwędzić zmieniacza czasu! Martin-lysol poczerwieniał na twarzy. Poczul się kompletnie zdemaskowany. Był przekonany, że bez pomocy niewymownego, ta wyprawa zakończy się fiaskiem. *W końcu jak sam, jako początkujący czarodziej i to poszukiwany listem gończym, miałbym sobie z tym poradzić... Przecież moja różdżka i tak jest bezużyteczna. W końcu nie znam, żadnego rozsądnego zaklęcia... Chociaż...*

— *Imperio!* — zawołał, wyciągając przed siebie różdżkę i rzucając na towarzysza zaklęcie. Matt nie zdołał w ogóle zareagować. Kompletnie się tego nie spodziewał. Jego twarz zastygła w lekkim otępieniu, a oczy zrobiły się dziwnie mętne. Ku olbrzymieniu zaskoczeniu Martina-lysola, zaklęcie podziałało!

— Zaprowadź mnie do Sali Czasu — polecił stanowczo Mattowi. Niewymowny błyskawicznie wykonał polecenie. Wybrał jedno z drzwi, które zamieniły się w chmurę czarnego dymu, gdy tylko je dotknął.

Po chwili kroczyli już pośród kilkudziesięciu biurk obladowa-

nych jakimiś stosami pergaminów i klepsydrami różnej wielkości. W podłużnej komnacie panował półmrok, rozświetlany nieznacznie światłem świec. Przejmującą ciszę przerywały odgłosy ich kroków. Minęli migoczący klosz, w którym wciąż wykluwał się z jajeczka ptaszek, po czym do niego powracał.

— Ale to dziwne — stwierdził Martin, przez chwilę przyglądając się zapętlonej sytuacji. Kiedy Matt zatrzymał się przy ostatnim biurku i z tępym wyrazem twarzy zaczął wpatrywać się w ścianę, Martin stanął obok niego. Ku swojemu przerażeniu, w wiszącym nieopodal brudnym i umazanym lustrze, ujrzał własne odbicie.

— Cholera! Elik sir przestał działać! — jęknął spanikowany. — Jak ja się stąd wydostanę?!

Próbując opanować ogarniające go przerażenie, zaczął uważniej rozglądać się po komnacie. Szukał jakiejś szafki lub gabloty ze zmieniającymi czas. Szybko dostrzegł witrynę pod jedną ze ścian, za którą na szklanych półkach spoczywały dziesiątki różnorodnych klepsydr. Każda innej wielkości, każda z innymi oznaczeniami i symbolami. Niektóre przyozdobione były złotem, inne dębowymi elementami.

— I który mam wybrać? — spytał sam siebie, podchodząc do witryny i niemal wlepiając swojego nochała w jej szybę — Skąd mam wiedzieć, który pozwoli mi się cofnąć o dwadzieścia lat?

— Osobiście polecam ten z numerem sto dwa! — rozległ się kobiecy, skrzeczący głos gdzieś zza pleców Martina. Głos, który wydał mu się dziwnie znajomy. *Niestety.*

Z drżącym sercem i żołądkiem na wysokości gardła obrócił się do tyłu i poczuł, że oblewają go zimne poty. Z przerażeniem spostrzegł, że tuż obok wciąż otępiełego Matta Browna stoi tęga, obrzydliwa czarownica w różowej, obcisłej sukni, opinającej jej fałdy tłuszczu. Jej parszywa gęba z dwiema, wielkimi brodawkami była purpurowa i wyrażała głębokie zadowolenie.

— Praksedo — jęknął Martin. — To nie tak jak myślisz...

Tęga czarownica oblizwała nerwowo usta, które wykrzywiły się w paskudnym uśmiechu, odsłaniając jej pożółkłe zęby.

— Mam cię w końcu, ty parszywy złodziejaszku! — syknęła, wyciągając przed Martina swoją tłustą rączkę, w której dzierżyła różdżkę.